



Z NIEBA SPADŁY TRZY JABŁKA

NARINE ABGARJAN



PRZEŁOŻYŁ
JACEK CEZARY KAMIŃSKI

Z NIEBA SPADŁY TRZY JABŁKA

NARINE ABGARJAN

Z NIEBA SPADŁY TRZY JABŁKA

NARINE ABGARJAN

Tłumaczenie: Jacek Cezary Kamiński

Tytuł oryginału:

С неба упали три яблока

Autor w oryginale:

Наринэ Абгарян

Tłumaczenie:

Jacek Cezary Kamiński

Konsultacja armenistyczna:

Armenian Foundation

Copyright © for the Polish translation by Glowbook, 2023

Wydawnictwo Glowbook

ul. Kolegiacka 2/2

98-200 Sieradz

www.glowbook.net

kontakt@glowbook.net

Projekt okładki:

Gabriela Mendes – @boemastudio

Redakcja i korekta:

Katarzyna Pilawa-Główka

Skład i łamanie:

Szymon Bolek – Studio *grafpa*, www.grafpa.pl

Konwersja ebook:

Justyna Kramarz – Studio *grafpa*, www.grafpa.pl

ISBN 978-83-67503-04-4

SPIS TREŚCI

Część I. Dla tego, kto widział

Rozdział 1	9
Rozdział 2	35
Rozdział 3	51
Rozdział 4	61
Rozdział 5	79

Część II. Dla tego, kto opowiedział

Rozdział 1	91
Rozdział 2	101
Rozdział 3	109
Rozdział 4	115
Rozdział 5	121
Rozdział 6	125
Rozdział 7	135

Część III. Dla tego, kto słuchał

Rozdział 1	147
Rozdział 2	163
Rozdział 3	175
Rozdział końcowy	181

Opowiadania

Maczuczka	187
Haddum	195
Wojna	209
Berd	215
Postowie	237



Część I

Dla tego, kto widział

ROZDZIAŁ 1

W piątek, zaraz po południu, gdy słońce przekroczyło zenit i dostojnie zmierzsało ku zachodniemu krańcowi doliny, Sewojanc Anatolija położyła się umierać.

Przed odejściem na tamten świat starannie podlała ogródek i posypała z naddatkiem kurom – nie wiadomo, kiedy sąsiedzi znajdą jej martwe ciało, a ptactwo nie może przecież chodzić głodne. Potem zdjęła pokrywki ze stojących pod rynnami beczek – na wypadek nagłej ulewy, żeby spływające z góry strumienie wody nie podmyły fundamentów domu. Następnie przejrzała kuchenne półki, zebrała wszystkie niedojedzone zapasy – miseczki z masłem, serem i miodem, kawałek chleba i połówkę gotowanego kurczaka – i zniosła do piwniczki. Wyjęła z szafy długą, wełnianą, „trumienną” sukienkę z białym, koronkowym kołnierzykiem, fartuch z kieszeniami wyszywanymi satynowym ścięciem, pantofle na płaskiej podeszwie, wełniane gułpy¹ (przez całe życie marżyły jej stopy), pieczołowicie wypraną i wyprasowaną bieliznę, no i różaniec prababci ze srebrnym krzyżykiem – Jasaman domyśli się, że trzeba jej włożyć do rąk.

Ułożyła ubranie w najbardziej widocznym miejscu w pokoju gościnnym – na ciężkim, pokrytym płóciennym obrusem dębowym stole (gdyby podnieść skraj obrusa, można by zobaczyć dwa głębokie, wyraźne ślady po ciosach siekiera), położyła na tym ekwipunku nieboszczyka kopertę z pieniędzmi – na wydatki związane z pogrzebem, wyjęła z komody stary obrus z ceraty i przeszła do sypialni. Stanęła nad łóżkiem, przecięła na pół ceratę, jedną połowę ułożyła na prześcieradle, położyła się i przykryła drugą połówką, narzuciła na wierzch kołdrę, złożyła ręce na piersi, poruszała głową, żeby wygodnie

1 Gułpy (orm.) – grube skarpety.

ułożyć się na poduszce, głęboko westchnęła i zamknęła oczy. Nagle wstała, otworzyła szeroko obie połówki okna, przyblokowała je doniczkami z pelargoniami – żeby się nie zatrzasnęły – i znów zaległa. Teraz już nie musiała się niepokoić, że dusza, opuściwszy jej doczesne ciało, będzie się błąkała po pokoju, zamknięta w czterech ścianach. Gdy się uwolni, od razu uleci przez otwarte okno – na spotkanie niebios.

Tak skrupulatne i drobiazgowo przygotowania miały bardzo ważną i smutną przyczynę – już drugi dzień Sewojanc Anatolija ociekała krwią. Gdy po raz pierwszy zauważyła na bieliźnie jakieś dziwne, brunatne plamy, na początku zdębiała, potem uważnie się im przyjrzała. Upewniwszy się, że to krew, gorzko zapłakała. Jednak zawstydziała się swojego strachu, opanowała emocje i pospiesznie otarła łzy skrajem chustki. Po co płakać, skoro nie unikniesz przeznaczenia? Każdemu pisana своя śmierć. Jednemu wyłączy serce, nad drugim będzie się pastwić i odbierze mu rozum, a dla niej widocznie zaplanowała zgon z powodu utraty krwi.

Anatolija nie miała wątpliwości, że choroba jest nieuleczalna i potrwa krótko. Przecież nie bez powodu uderzyła w najbardziej nieprzydatną i bezsensowną część jej ciała – macicę. Jakby wprost mówiła: to kara za to, że Anatolija nie zdołała wypełnić swojej życiowej misji – urodzenia dzieci.

Gdy zakazała sobie płakać i użalać się nad sobą, pogodziła się z nieuniknionym i nad wyraz szybko się uspokoiła. Pogrzebała w skrzyni z pościelą, wyjęła stare prześcieradło, pocięła je na kawałki i zrobiła sobie z nich coś w rodzaju podpasek. Pod wieczór krwotok stał się tak obfity, że wydawało się, jakby gdzieś wewnątrz niej pękła wielka, niewyczerpalna żyła. Musiała więc użyć również tych niewielkich zapasów waty, jakie miała w domu. A ponieważ wyglądało na to, że i wata szybko się skończy, Anatolija rozpruła skraj kołdry, wyjęła z niej kilka kępek owczej wełny, starannie je przepłukała i ułożyła na parapecie, żeby się wysuszyły. Oczywiście mogła pójść do mieszkającej obok Szłapkanc Jasaman i poprosić ją o watę, ale nie zrobiła tego – a jeśli nie wytrzyma, rozplacze się i opowie przyjaciółce o swojej śmiertelnej chorobie? Jasaman się przestraszy, poleci do Satenik, żeby ta wezwała z doliny karetkę pogotowia... Anatolija nie zamierzała tułać się po szpitalach, żeby lekarze męczyli ją bolesnymi i bezskutecznymi procedurami.

Postanowiła umrzeć, zachowując godność i harmonię, w ciszy i spokoju, w czterech ścianach domu, w którym przeżyła całe swoje nielekkie

i daremne życie. Położyła się późno, długo przeglądała rodzinny album. W słabym świetle lampy naftowej twarze dawno zmarłych bliskich wyglądały na smutne i zamyślane. Wkrótce się zobaczymy, szeptała Anatolija, gładząc każdą fotografię swoimi zgrubiałymi od ciężkiej, wiejskiej pracy palcami. Wkrótce się zobaczymy. Mimo smutku i strachu, usnęła bez trudu i spała do samego rana. Obudził ją krzyk podekscytowanego koguta – kury bezładnie miały się po kurniku, niecierpliwie oczekując, aż wypuszczą je pohulać po ogrodowych grządkach. Anatolija uważnie wsłuchiwała się w siebie. Samopoczucie uznała za całkiem znośne – jeśli nie liczyć bólu pleców i lekkich zawrotów głowy, niby nic jej nie niepokoiło. Ostrożnie się podniosła i poszła do ubikacji. Z jakąś złośliwą satysfakcją upewniła się, że krwi wypłynęło jeszcze więcej. Wróciła do domu, sporządziła z kłęбка wełny i skrawka tkaniny podpskę. Jeśli wszystko pójdzie tak dalej, to do jutrzejszego ranka wyciecze z niej cała krew. To znaczy, że kolejny wschód słońca może już w jej życiu się nie wydarzyć.

Postała na werandzie, chłonąc każdą komórką ciała delikatne promienie poranka. Zaszła do sąsiadki – przywitać się i zapytać, co u niej słychać. Jasaman zaczynała pranie – akurat stawiała na piecu ciężki sagan wody. Czeka-
jąc, aż się zagotuje, pogwarzyły o tym i owym, omówiły codzienne sprawy. Wkrótce dojrzeje morwa, trzeba będzie ją strząsnąć, zebrać owoce. Z części zbiorów uwarzy się syrop, drugą część się ususzy, a trzecią zostawi, żeby dochodziła w drewnianej beczce. Potem się z niej upędzi morwowy samogon. A i do końskiego szczawiu pora się już przymierzać, za tydzień, dwa, będzie już za późno – na palącym czerwcowym słońcu roślina szybko łykowacieje i staje się niezdatna do jedzenia. Gdy woda w kotle zakipiała, Anatolija opuściła przyjaciółkę. Teraz mogła już być spokojna, Jasaman nie pomyśli o niej do jutrzejszego poranka. Upłynie dużo czasu zanim wypierze pościel, nakrochmali ją, wybieli, rozwiesi, żeby wyschła na słońcu, zbierze, wyprasuje... Dopiero późnym wieczorem się z tym upora. Więc Anatolija będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby sobie cicho odejść na tamten świat.

Uspokojona tymi okolicznościami, spędziła poranek na niespiesznej, codziennej krzątaniu i dopiero po południu, gdy słońce zeszło z zenitu i zaczęło zmierzać ku zachodniemu krańcowi doliny, położyła się umierać.

Anatolija była najmłodszą z trzech córek Sewojanc Kapitona i jedyną z całej rodziny, której udało się dożyć do sędziwego wieku. Niesłychana

rzecz – w lutym obchodziła pięćdziesiąte ósme urodziny. Niebawem w jej rodzinie osiągnięcie.

Swoją matkę pamiętała słabo – umarła, gdy Anatolija skończyła siedem lat. Miała niezwykle, migdałowe oczy o złocistym odcieniu i gęste, jasne loki. Nazywali ją *Woske*², co bardzo pasowało do jej wyglądu. Matka zaplatała swoje cudowne włosy w gęsty warkocz, spinała go za pomocą drewnianych szpilek w ciężki węzeł i chodziła z nieco odchyloną do tyłu głową. Często wodziła palcami po szyi, żaliła się, że jej drętwieje. Raz do roku ojciec sadzał ją przy oknie, ostrożnie rozczesywał włosy i podcinał je dokładnie na wysokości pasa – matka nie pozwalała bardziej skracać. Córkom też nigdy nie ścinała warkoczy – długie włosy miały je uchronić od klątwy, która ciążyła nad nimi od dnia, gdy *Woske* wyszła za mąż za *Sewojanc Kapitona*.

Bo tak naprawdę to powinna wyjść za niego jej starsza siostra, *Tatewik*. *Tatewik* miała wówczas szesnaście lat a czternastoletnia *Woske*, druga córka na wydaniu w wielkiej rodzinie *Agulisanc Garegina*, brała aktywny udział w przygotowaniach do uroczystości ślubnej. Zgodnie z odwieczną tradycją, kultywowaną przez wiele pokoleń mieszkańców *Maranu*, wesele powinno się odbyć najpierw w domu panny młodej, a później – u pana młodego. Jednak ojcowie rodzin *Kapitona* i *Tatewik* – dwóch bogatych i szanowanych rodów *Maranu* – postanowili zjednoczyć siły i urządzić jedno wielkie wesele na mejdanie³. Rozmach uroczystości miał być niesłychany. Ojciec *Kapitona* postanowił olśnić licznych gości i wyprawił swoich dwóch zięciów do doliny, żeby ściągnęli na wesele muzyków z teatru kameralnego. Zięciowie wrócili utrudzeni, ale radośni, i oznajmili, że butni muzykanci od razu zmienili ton (kto to słyszał zapraszać na wieś teatralną orkiestrę!), gdy usłyszeli o hojnym honorarium w wysokości dwóch złotych monet dla każdego i zapasie prowiantu na tydzień, który po uroczystości obiecali dostawić furmanką do teatru zięciowie ojca *Kapitona*. Ojciec *Tatewik* też przygotowywał niespodziankę – na wesele został zaproszony najbardziej renomowany w dolinie tłumacz snów. Za wynagrodzenie w wysokości dziesięciu złotych zgodził się służyć swoimi radami przez cały dzień. Jedyne, o co poprosił, to pomoc w dostarczeniu niezbędnego w tej pracy wyposażenia: namiotu, szklanej

2 *Woske* (orm.) – złota.

3 *Mejdan* (orm.) – centralny plac w niewielkich miejscowościach, miejsce, gdzie zbierali się ludzie.

kuli na masywnym stojaku z brązu, stołu wróżbiarskiego, szerokiej otomany, dwóch doniczek z silnie aromatyczną, rozłożystą rośliną niespotykanego gatunku, oraz dziwacznych, spiralnych świec ze specjalnych odmian sproszkowanego drewna, które potrafiły się palić przez kilka miesięcy, rozprzestrzeniając wokół imbirowy i piżmowy aromat. Na wesele oprócz mieszkańców Maranu zostało zaproszonych z pół setki mieszkańców doliny, w większości – szanowani i zamożni ludzie. O nadchodzącym święcie, które zapowiadało się na niezapomniane wydarzenie, napisano nawet w gazetach. Był to wyjątkowy zaszczyt, bo nigdy dotąd prasa nie wspominała o uroczystościach związanych z rodzinami, które nie miały szlacheckiego pochodzenia.

Zdarzyło się jednak coś, czego nikt się nie spodziewał – cztery dni przed ślubem narzeczona dostała wysokiej gorączki, przemęczyła się w malignie dobie i zmarła, nie odzyskując świadomości.

W dniu jej pogrzebu nad Maranem najwyraźniej rozwarły się jakieś ciemne wrota i zadziały siły wrogie niebiańskim, bo tylko utratą rozsądku da się wyjaśnić postępowanie głów dwóch rodzin. Od razu po zakończeniu ceremonii pogrzebowej, po krótkiej naradzie, obaj mężczyźni zgodnie podjęli decyzję, żeby nie odwoływać wesela.

– Pieniądze nie mogą się przecież zmarnować – ogłosił podczas stypy oszczędny Agulisanc Garegin. – Kapiton to dobry chłopak, pracowity i greczny, każdy chciałby mieć takiego zięcia. Tatewik Bóg zabrał do siebie, znaczy tak było pisane, narzekać na Jego wolę to grzech. Ale mamy jeszcze jedną córkę na wydaniu. Więc postanowiliśmy z Anesem, że za mąż za Kapitona wyjdzie Woske.

Nikt nie ośmielił się sprzeciwić mężczyznom i Woske, pogrążonej w smutku po utracie ukochanej siostry, nie pozostało nic innego jak posłusznie wyjść za mąż za Kapitona. Żałobę po Tatewik przełożono o tydzień. Wesele było wielkie, szumne i bardzo syte. Wino i samogon morwowy łąły się rzeką, wystawione pod odkrytym niebem stoły uginały się od wszelakiego jadła, odziana w ciemne surduty i wyglancowane na błysk buty orkiestra przygrywała polki i menuety. Weselnicy przez jakiś czas w napięciu przysłuchiwali się muzyce klasycznej, do której nie przywykli ich uszy, ale w końcu, gdy nieco wypili, machnęli ręką i puścili się w zwyczajne, wiejskie płasy.

Do namiotu tłumacza snów prawie nikt nie zachodził – rozgrzani obfitym jedzeniem i napitkami goście weselni nie mieli do tego głowy. Woske

zaprowadziła tam za rękę zaniepokojona ciotka, gdy dziewczyna w wolnej chwili opowiedziała jej w dwóch słowach sen, który przyśnił się jej w noc przed ślubem. Tłumacz okazał się drobnym, chudym i niesamowicie, wręcz przerażająco, szpetnym starcem. Wskazał dłonią, gdzie Woske ma usiąść – tę zamurowało, gdy ujrzała mały palec jego prawej ręki – długi, przez wiele lat nie obcinany, ciemny paznokieć, zawinął się wokół czubka palca i rósł dalej wzdłuż dłoni, w kierunku krzywego nadgarstka, ograniczając ruchy dłoni. Ciotkę starzec bezceremonialnie wyprosił z namiotu, przykazał pilnować wejścia, a sam usiadł naprzeciwko niego. Szeroko rozrzucając nogi odziane w dziwaczne szarawary i zwiesiwszy między kolanami długie, cienkie ręce, w milczeniu wpatrywał się w Woske.

– Przyśniła mi się siostra. – Dziewczyna sama z siebie odpowiedziała na pytanie, które nie padło. – Stała odwrócona plecami, w pięknej sukni, z wplecioną w warkocz cudowną nicią. Chciałam ją objąć, ale nie pozwoliła mi. Odwróciła się do mnie, a jej twarz była nie wiedzieć czemu stara, w zmarszczkach. I usta takie... jakby język się w nich nie mieścił. Zapłakałam, a ona odeszła w róg pokoju, wypluła sobie na dłoń jakąś ciemną maź, wyciągnęła do mnie rękę i mówi: „Nie pisane ci szczęście, Woske”. Przestraszyłam się i obudziłam. Ale najbardziej straszne wydarzyło się później: otworzyłam oczy i zobaczyłam, że sen trwa. Było jeszcze przed enbaszti⁴, koguty jeszcze nie zaczęły pisać, poszłam napić się wody, nie wiem, dlaczego spojrzałam w górę, na sufit, i zobaczyłam w erdyku⁵ smutną twarz Tatewik. Rzuciła mi pod nogi swoją przepaskę z peleryną i zniknęła. A przepaska i peleryna rozsypały się w proch, gdy dotknęły podłogi.

Woske rzewnie zapłakała, rozmazując po policzkach czarny tusz z rzęs – jedyny kosmetyk, jakiego używały kobiety Maranu. Z wyszywanych drogim haftem i srebrnymi monetami rękawów jedwabnej mintany⁶ wystawały jej delikatne nadgarstki, bezradna niebieska żyłka pulsowała niespokojnie na skroni.

Tłumacz snów głośno westchnął, wydając przeciągły, drażniący dźwięk. Woske przerwała opowieść i z przestraczem spojrzała na niego.

4 Enbaszti [orm.] – wczesny ranek, pomiędzy godzinami 3.00 a 6.00.

5 Erdyk [orm.] – okienko w suficie, typ świetlika.

6 Mintana [orm.] – odświętna suknia.

– Posłuchaj mnie, dziewczyno – zaskrzypiał starzec. – Snu ja tobie wyjaśnić nie będę, nie ma sensu. To i tak nic nie zmieni. Jedyne, co mogę ci poradzić: nigdy nie skracaj włosów, niech zawsze zakrywają ci plecy. Każdy człowiek ma swój amulet. U mnie jest to paznokieć małego palca – powiedział, wyciągając ku Woske prawą rękę. – U ciebie to włosy – dokończył.

– Dobrze – szepnęła Woske. Poczekwała jeszcze chwilę, licząc na jakieś dodatkowe wskazówki, ale tłumacz zastygł w ponurym milczeniu. Więc wstała, szykując się do wyjścia, ale zebrała się na odwagę i zapytała: – Nie wiecie, dlaczego właśnie włosy?

– Nie mogę tego wiedzieć, ale skoro rzuciła ci przepaskę, to znaczy, że chciała ukryć to, co może uchronić cię od klątwy – odpowiedział starzec, nie odrywając wzroku od dymiącej świecy.

Woske opuściła namiot z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie bała się już tak bardzo, bo część swojego strachu oddała tłumaczowi snów, ale równocześnie dręczyła ją myśl, że przyszło jej, choć nie ze złej woli, ale jednak, przedstawić zmarłą siostrę obcemu człowiekowi niemal jak wiedźmę. Gdy przekazała wyczekującej niecierpliwie pod namiotem ciotce prococtwo starca, ta nie wiedzieć czemu bardzo się ucieszyła.

– Najważniejsze, że nie musimy się niczego bać. Rób tak, jak ci doradził, a wszystko będzie dobrze. A dusza Tatewik po czterdziestu dniach opuści naszą grzeszną Ziemię i zostawi cię w spokoju.

Woske wróciła do weselnego stołu – usiadła przy świeżo upieczonym mężu i nieśmiało uśmiechnęła się do niego. Ten zmieszał się, oddał uśmiech i niespodziewanie mocno się zarumienił – mimo poważnego, według patriarchalnych obyczajów, wieku dwudziestu lat, Kapiton był bardzo wstydlwym i nieśmiałym młodzieńcem. Trzy miesiące temu, gdy w rodzinie zaczęły się rozmowy o tym, że pora go ożenić, mąż starszej siostry podarował mu prezent – zabrał go do doliny i opłacił noc w domu publicznym. Do Maranu Kapiton wrócił mocno zmieszany. Nie można powiedzieć, że noc spędzona w objęciach pachnącej różaną wodą, goździkiem i potem kobiety publicznej nie przypadła mu do gustu. Raczej przeciwnie – był oszołomiony i oczarowany tymi żarliwymi pieszczotami, którymi szczerze go obdarzyła. Jednak nie dawało mu spokoju jakieś niejasne poczucie obrzydzenia i wspomnienie mdłości, jakich doświadczył w chwili, gdy ujrzał wyraz jej twarzy – wijąc się niczym żmija, wydając głuche jęki i pieszcząc go zręcznie i namiętnie,

potrafiła zachować tak obojętną, kamienną minę, jakby zajmowała się nie miłością, a czymś całkiem pospolitym. Z właściwą dla swojego wieku nieroztropną pochopnością uznał, że takie zachowanie w łóżku, będące mieszaniną wyrachowania i bezwstydnosci, jest typowe dla wszystkich kobiet i niczego dobrego od małżeństwa nie oczekiwał. Właśnie dlatego, gdy ojciec oświadczył mu, że po śmierci starszej córki Agulisanc Garegina musi ożenić się z młodszą, Kapiton jedynie milcząco skinął głową. Co za różnica, z kim się ożeni? Wszystkie kobiety ze swej natury są fałszywe i niezdolne do szczyrych uczuć.

Blżej nocy, gdy kelnerzy zaczęli podawać do stołu soczyste plastry szynki pieczonej w przyprawach oraz sypką kaszę pszenną ze skwarkami i smażoną cebulką, podpici swatowie, przy przenikliwym wyciu surmy i aplauzie gości, odprowadzili młodych do sypialni i zamknęli ich tam na zasuwę, obiecując wypuścić rano. Zostawszy sam na sam z mężem, Woske gorzko zapłakała, gdy jednak Kapiton podszedł, żeby ją objąć i pocieszyć, nie odepchnęła go, a przeciwnie – przyłgnęła do niego i w mig się uspokoiła, tylko pochlipywała i rozczulająco pociągała noskiem.

– Boję się. – Podniosła ku niemu zapłakaną buzię.

– Ja też się boję – odpowiedział Kapiton.

Ten niewyszukany, lecz szczyry i wzruszający dialog, wypowiedziany wstydlwym szeptem, związał ich młode i głodne miłości serca nierozzerwalnie i raz na zawsze. Później, w łóżku, tuląc do piersi swoją młodą małżonkę i z lubością chłonąc każdy jej ruch, każde westchnienie, każdy czuły dotyk, Kapiton płonął ze wstydu za to, że miał czelność porównywać ją do kobiety z doliny. Woske w jego objęciach błyszczała i mieniła się niczym drogocenny kamyczek, rozgrzewała i wypełniała sensem wszystko, co go otaczało, od tej chwili na zawsze stała się czymś najdroższym, co jest i będzie w jego życiu.

Po tygodniu, gdy Agulisanc Garegin i jego zięciowie, z gołymi głowami i milczący, odziani od stóp do głów w czerń, zabili trzy podrośnięte cielaki, nagotowali mięsa bez soli i roznieśli je po wsi na dużych tacach (ludzie otwierali drzwi i bez słowa zabierali należną każdemu domowi porcję – nie należy rozmawiać, gdy przynoszą ci mięso ofiarnego zwierzęcia), Woske obwiesiła okna sypialni ciemnymi zasłonami i postanowiła do końca swoich dni nosić żałobę po siostrze. Zamęczała się ciągłymi postami i spędzała długie wieczory w cerkwi, modląc się o spokój duszy Tatewik i wyprasząc u niej wybaczenie. W żałobnej asyście matki, bratowych i ciotek raz w tygodniu

odwiedzała cmentarz, żeby doglądać grobu siostry. Jasna i ciemna pora dnia dosłownie zamieniły się w jej życiu rolami – nocą kochała i grzała swoim słońcem, a za dnia przeistaczała się w istotę chmurną i smutną. Tatewik już nigdy więcej do niej nie przysła i fakt ten bardzo martwił Woske. Jednak nie wybaczyła mi, inaczej na pewno przyśniłaby się jeszcze raz, dzieliła się z mężem myślami, roniąc łzy.

Żeby jakoś odciągnąć żonę od bolesnych myśli, Kapiton zaproponował jej, żeby zajęła się umeblowaniem domu, który dostali po ślubie. Wcześniej mieszkały tam jego niezamężna ciotka i babcia – babo⁷ Mane, ale przeniosły się do domu ojca Kapitona, zostawiając młodemu solidne mieszkanie o grubych ścianach, nieco ciemne, ale już urządzone i przytulne, z wielką, drewnianą werandą, wysokim strychem i zadbanym sadem. Woske kategorycznie odmawiała przeprowadzki, ponieważ dom znajdował się na drugim końcu Maranu, ale Kapiton nalegał – mieszkając z dala od pogrążonych w żałobie bliskich, żona coraz rzadziej będzie myślała o siostrze i szybciej pogodzi się z bolesną stratą.

Choć Woske z wielką niechęcią ustąpiła oczekiwaniom męża, niespodziewanie dla niej samej wciągnęło ją nowe zajęcie i z takim animuszem zabrała się do roboty, że nawet zamówiła w dolinie kilka czasopism poświęconych wystrojowi wnętrza. Wnikliwie je przestudiowała i wybrała jadalnię z dębu bagiennego: owalny stół obiadowy, cztery otomany pokryte ciemnozielonym aksamitem, trzydzieści krzeseł – miejsc do siedzenia musi być dużo, bo dom zawsze będzie pełen gości – i kilka misternie rzeźbionych kredensów z wysokimi, szklanymi drzwiczkami, gdzie da się zmieścić wykwinny serwis dla dwudziestu czterech osób i wiele innych naczyń otrzymanych w prezencie weselnym. Stolarz Minas, który zobowiązał się do dokładnego odwzorowania mebli, musiał nająć dwóch dodatkowych pomocników, żeby pomogli trzem pozostałym zdążyć w wyznaczonym terminie – Woske była już w ciąży z pierwszym dzieckiem i chciała zdążyć z umeblowaniem domu przed rozwiązaniem. Ostatnich kilka miesięcy przed porodem spędziła na robótkach ręcznych – wyszyła do spółki z matką kilka obrusów i narzut, dwa komplety pościeli, wyprawkę i strój na chrzciny niemowlęcia. Co tydzień, po rytualnej wizycie na cmentarzu, udawała się do stolarni Minasa, żeby

7 Babo (orm.) – pełne szacunku określenie babci.

skontrolować postęp prac. Minas znacząco chrząkał i chmurzył się, ale w milczeniu znosił wizyty Woske, co prawda szybko odprawiał ją do domu, tłumacząc, że kobieta, a zwłaszcza ciężarna, nie powinna przebywać w warsztacie przesiąkniętym oparami jadowitych lakierów i męskiego potu. Jednak wizyty w stolarni nie były daremne – meble zostały wykonane na czas i jak tylko Woske doprowadziła dom do porządku i wyprawiła osiedliny, zległa w położu. Dobę później podarowała swojemu Kapitonowi córkę, której dali na imię Nazeli. Po dwóch latach urodziła się Salome, a jeszcze po czterech – najmłodsza, Anatolija.

Czuła i troskliwa wobec męża Woske była małowówna i bardzo powściągliwa w stosunku do córek – Anatolija nie przypominała sobie, żeby zwracała się do nich zdrobniałymi słówkami lub co chwila zasypywała pocałunkami, jak czyniły to inne matki. Nigdy nie chwaliła ich, ale i nie karmiła. Jeśli coś się jej nie spodobało, w milczeniu zaciskała wargi lub marszczyła brew. Tej gniewnej miny dziewczynki wystrzegały się bardziej niż ciągłego powarkiwania starej babo Mane, jedynej krewnej, jaka została im po strasliwym trzęsieniu ziemi, które zabrało w otchłań zachodnie zbocze góry Manisz-kar. Tragedia wydarzyła się tego roku, w którym miała się urodzić Salome. Babo Mane przeniosła się do nich, żeby pomagać przy maleńkiej Nazeli – męczona przez ciężkie nudności Woske nie dawała sobie rady z niespokojnym dzieckiem. Nieszczęście przyszło w mroźne, grudniowe południe: ziemia pod nogami zdrząła, wzruszyła się, zawyla – z wolna, z przerażającym skowytym rozszczepiła zbocze Manisz-karu i runęła w przepaść, pociągając za sobą domy z zabudowaniami gospodarczymi i podwórkami, rozpaczającymi ludźmi i zwierzyną, która, przeczuwając nadchodzącą katastrofę, miotła się w oborach i chlewach, na próżno próbując zwrócić na siebie uwagę i uprzędzić gospodarzy.

Ta część wsi, która ocalała, zniosła uderzenie żywiołu mężnie i z godnością: mieszkańcy pomodlili się za dusze zmarłych w małej kaplicy (stojąca na skraju wsi cerkiew Grigora Lusaworicza⁸ runęła w przepaść jako pierwsza) i rozeszli się po domach – wzmacniać popękane ściany, naprawiać zawalone dachy i poprzewracane drewniane płoty. Nikt jeszcze wówczas nie rozmawiał o tym, że należałoby się przenieść gdzieś w bezpieczniejsze miejsce na

nizinach – takie rozmowy zaczęły się dużo później. Po trzęsieniu ziemi mejdan opustoszał – już nigdy więcej nie odbyło się tam żadne szumne święto czy zabawa. Kilka razy starym zwyczajem przyjechali z doliny Cyganie, opowiadali, że część domów, które runęły w przepaść, błoto uniosło daleko na zachód i osadziło w obcych wioskach, i że ludzie z tych domów są cali i zdrowi, ale nigdy nie powrócą, bo straszne przeżycie odebrało im pamięć i nie wiedzą, że żyli niegdyś na szczycie góry pokrytej odwiecznym lasem i żyznymi pastwiskami. Mieszkańcy Maranu słuchali cygańskich opowieści z wdzięcznością, obdarowywali gości wszelkim dobrem i łachmanami – i żegnali z Bogiem. Każdy w głębi duszy miał nadzieję, że Cyganie mówią prawdę i że nieszczęśni mieszkańcy zachodniego zbocza Manisz-karu żyją. Nie ma znaczenia, że mówią teraz innymi językami i inaczej się ubierają. W końcu niebo wszędzie jest niebieskie, a wiatr wieje tak samo jak w kraju, w którym poszczęściło ci się urodzić.

Cyganie przyjechali jeszcze kilka razy, a potem przestali się pojawiać – pierwsi przeculi, że nadciąga nowa katastrofa i pewnego dnia przepadli. Bez słowa i na zawsze rozplynęli się w gorących promieniach południowego słońca, oślepiającego swoim złotym blaskiem – niczym monety, którymi Cyganie wykupywali się w dni targowe na mejdanie, gdy złapano ich za rękę przy rytualnym występku kradzieży.

Anatolija urodziła się w noc poprzedzającą ich ostatnią wizytę w wiosce. Babo Mane akurat zabrała do sąsiadki starsze prawnuczki, żeby wycieńczona po ciężkim porodzie Woske mogła odpocząć. U matczynego boku, starannie owinięta w ciepłe szatki, spała maleńka Anatolija – jedyna z córek Sewojanc Kapitona, która była jak dwie krople wody podobna do swojego smągłego dziadka. To właśnie z powodu tej smągłości nazywali ich ród Sewojanc – „sew” w dialekcie marańskim znaczy „czarny”. Cyganka, pulchna i niska kobieta z ledwo zauważalną blizną na lewym policzku, bezceremonialnie weszła do domu, śmiało przeszła przez wszystkie pokoje i bez pukania zajrzała do Woske – ta przestraszyła się, uniosła na łokciach i zasłoniła noworodka. Cyganka wykonała uspokajający gest ręką – nie bój się, nic złego ci nie zrobię, podeszła do łóżka, spojrzała na dziecięcą buźkę.

- Jak dasz mu na imię?
- Anatolija.
- Ładnie.

Cyganka wyprostowała się, odsunęła skraj pościeli, podciągnęła swoją kolorową spódnice z falbanami i usiadła, szeroko, po męsku rozstawiając nogi i zwieszając pomiędzy nimi chude i długie dłonie. Jej poza wydała się Woske jakoś dziwnie znajoma. Ktoś już mówił jej ważne słowa, siedząc właśnie tak, opierając się łokciami o szeroko rozstawione kolana, ale z jakiegoś powodu nie mogła sobie przypomnieć kto to był – dosłownie, jakby skinieniem palca starło jej pamięć.

– Nigdy już tu nie wrócimy, nigdy. Oddaj ze swojej biżuterii to, czego gotowa jesteś się pozbyć. Tak trzeba – przemówiła powoli Cyganka. Jej głos był ochrypły, przepalony, nie wymawiała końcówek niektórych słów, jakby brakowało jej tchu.

Woske nawet nie przyszło do głowy sprzeciwić się nieproszonemu gościowi: w uważnym i ciężkim spojrzeniu, w wyrazie twarzy Cyganki było coś takiego, co nakazywało w pełni jej zaufać. Dlatego swoim zwyczajem odrzuciła spod pleców długie włosy i ułożyła je na poduszce – dzięki temu nie przeszkadzały jej, gdy leżała – złożyła ręce na piersiach i zamyśliła się. Błyskotek miała mało i wszystkie były подарowane przez bliskich, którzy zginęli w trzęsieniu ziemi. Oddanie czegokolwiek oznaczało wyrzucenie ich z pamięci.

– Otwórz komodę, tam leży szkatułka. Wybierz sama – postanowiła w końcu Woske po chwili wahania.

Cyganka z trudem wstała, wyprostowała pościel, otworzyła pudełko, włożyła do środka rękę, wyciągnęła na oślep jakieś świecidełko, schowała je za pazuchą i skierowała się do wyjścia.

– Dlaczego już nie wróćcie? – Zatrzymała ją pytaniem Woske.

Cyganka nacisnęła na klamkę.

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

Przez moment się wahała, ale dodała:

– Mam na imię Patrina.

Woske chciała się przedstawić, ale Cyganka stanowczo pokręciła głową – nie trzeba. Potem starannie owinęła się ciepłym szalem, niemal niezauważalnie skinęła głową i wyszła. Gdy tylko drzwi za nią się zamknęły, Woske zakręciło się w głowie. Opadła na poduszkę, poleżała z zamkniętymi oczami, żeby przeczekać ten atak słabości i nieoczekiwanie dla siebie zasnęła. Przebudziła się z pełnym przekonaniem, że wizyta Cyganki się jej przyśniła, jednak otwarta komoda wskazywała na coś innego. Poprosiła babo Mane,

żeby podała jej szkatułkę z biżuterią. Nie doliczyła się ciężkiego, srebrnego pierścienia z niebieskim ametystem. Był to pierścień babci, który zgodnie z prawem dziedziczenia powinien przypaść jej starszej wnuczce, Tatewik. Ale przypadł Woske.

W pokoju pachniało wieczorną świeżością i odrobinę – rumiankową goryczką. Wzeszła rosa, wyszała z półsuchych kwiatów gęsty aromat i rozlała go ponad ziemią. Jeszcze godzina, dwie i nadejdzie noc. Nad Manisz-kar nadciąga ona szybko i nagle, jakby dosłownie wyskakiwała spod ziemi. Wydawałoby się, że dopiero co horyzont mienił się promieniami zachodzącego słońca a sekundę później wszystko już tonie w półśnie, niebo jest bardzo nisko, hojnie usiane gwiazdami, a świerszcze śpiewają tak gorliwie, jakby był to ich śpiew ostatni.

– Ciekawe, o czym śpiewają – zamamrotała Anatolija i nieoczekiwanie dla samej siebie zaśmiała się, ale tak niefortunnie, że zaczęła się dławić własną śliną. Odkasznęła, podniosła się na łokciu, wypła kilka łyków ze szklanki – karafka z wodą zawsze stała na szafce nocnej. Przyzwyczajenie z czasów małżeńskich. Mąż, wielki wodopij, pochłaniał tę ciecz w ogromnych ilościach, nawet nocą, i żeby nie łązić bez sensu, wymagał, aby każdego wieczora Anatolija stawiała obok łóżka karafkę świeżej wody. Minęło już dwadzieścia lat jak słuch po nim zaginął, a ona codziennie, starym nawykiem, nalewała do karafki świeżej wody. Dzień po dniu, każdego dnia, dwie dziesiątki lat z rzędu.

Po wypiciu wody bardzo ostrożnie przewróciła się na bok, pogmeraa ręką pod sobą, żeby wyprostować ceratę. Między nogami było lekko i obrzydliwie, starannie wykonana podpaska – Anatolija przezornie wypełniła ją pakułami, żeby dłużej wchłaniała – przeciekała, a nocna koszula namokła i przywarła do ciała. Trzeba było wstać i się przebrać. Anatolija zrobiła to, przewyciężając mdłości – nie wiedzieć czemu cała ta sytuacja wywoływała u niej potworną irytację i niesmak. Krwawienie stało się jeszcze obfitsze, krew tryskała z jakąś nieodpartą, złą siłą, jakby uparła się jak najszybciej opuścić jej łono. Anatolija wrzuciła brudną bieliznę pod łóżko, żeby przepadła jej z oczu, położyła się z powrotem, wygładziła górny kawałek ceraty, nakryła się nim, narzuciła na wierzch kołdrę, starannie owijając nią stopy – nogi drżały jej z zimna nawet latem, w największy upał.

– Chciałabym już umrzeć – westchnęła, zamknęła oczy i spokojnie pogrążyła się odmętach wspomnień. Z nimi czas płynął szybciej.

Miała siedem lat, gdy odeszła mama – rozgrzała banię⁹, wykąpała córki, ułożyła do snu, a na ten czas, gdy krzątała się przy nich, zamknęła przepustnicę komina, żeby zatrzymać ciepło. Zapomniała ją otworzyć po powrocie do bani, przez co zaczęła się na śmierć. Zmęczony po ciężkiej pracy Kapiton zasnął, nie doczekawszy się żony, a gdy obudził się w środku nocy i zobaczył, że jej nie ma, wyważył drzwi bani i wyniósł ją na rękach – upadając, Woske zaczęła o drzwiczki pieca, te otworzyły się i część węgielków, która dziwnym trafem nie zgasła mimo wilgoci, spaliła jej cudowne, miodowe loki.

– Klątwa Tatewik nas dopadła! – rozpaczła żałośnie stareńka babo Mane, wznosząc ku niebu pokurczone, smagłe dłonie. Miała wówczas już ponad sto lat – na wpół ślepa, słaba, spędzała całe dnie na kanapie. Obłożona poduszkami przesuwiała przezroczyste koraliki różańca, szepcząc przy tym modlitwy. Śmierć Woske spowodowała, że musiała podnieść się z kanapy i wziąć na swoje zgarbione barki troskę o dom. Przeżyła jeszcze pięć lat i odeszła podczas straszliwego głodu, który zabrał ze sobą także jej wycieńczone z powodu niedożywienia starsze prawnuczki. Salome zgasła pierwsza, dzień później odeszła Nazeli. Złożono dziewczynki do wspólnej trumny, przykryto długimi włosami – głód, wraz z życiem i pięknem, zabrał ze sobą również ich bujne, miodowe, odziedziczone po matce warkocze. Babo Mane przemyła włosy dziewczynek lawendową wodą, wysuszyła na wietrze, rozczesala i nakryła nimi, niczym welonem, wychudzone, niemal przezroczyste ciała prawnuczek.

Kapiton wywiózł najmłodszą z córek do doliny – pod opiekę dalekich krewnych. Zostawił im szkatułkę z biżuterią Woske i zaoszczędzone przez lata nielekkiej, chłopskiej pracy pieniądze – czterdzieści trzy złote monety. Za każdym razem gdy Anatolija zamykała oczy, pojawiał się przed nią ojciec – wychudzony, z zapadniętymi policzkami, wyglądający na wpół martwego. Młody mężczyzna, który z dnia na dzień przeistoczył się w niedołęznego starca. Powstrzymywała oddech, żeby nie rozbeczeć się z powodu dzikiego, przeszywającego serce bólu, gdy przypominała sobie jak przycisnął ją do piersi i szepnął do ucha – chociaż ty przeżyj, córeczko; jak wyszedł z domu krewnych, dokładnie zamykając za sobą drzwi – i więcej już nie przyszedł, nigdy.

Wróciła do Maranu po długich siedmiu latach, przez ten czas opiekująca się nią rodzina zdążyła przepuścić biżuterię matki – jedyne, co zostało Anatolii,

to kamea z muszli naturalnej, bladuróżowa, przechodząca w beż, z kunsztownie wyrzeźbionym wizerunkiem młodej dziewczyny, siedzącej w półobrocie na maleńkiej ławeczce w cieniu wierzby i wypatrującej kogoś w oddali. Podczas lat spędzonych w dolinie Anatolija wiele się nauczyła, przede wszystkim czytania, pisania i rachunków. Do szkoły opiekunowie jej nie posłali, tłumacząc to brakiem pieniędzy na naukę, ale żona wujka, kobieta nieszczęsna i uległa, pełniąc raczej rolę służącej niż gospodyni domu, skazana na znoszenie do końca życia nieustannych wybryków pijackich męża i synów, nauczyła ją wszystkiego, co sama potrafiła. Nigdy nie poniżała Anatolii, była wobec niej bardzo miła i życzliwa, broniła ją przed złośliwościami i chamstwem kuzyńców, a krótko przed śmiercią – a umierała długo i w mękach z powodu jakiejś nieznannej choroby, powoli i systematycznie wyniszczającej jej organizm – odesłała dziewiętnastoletnią Anatoliję pocztową furgonetką z powrotem do Maranu.

Anatolija wyrosła tymczasem na urodziwą dziewczynę – niebiesko-czarne oczy po dziadku, oliwkowa skóra, długie, sięgające do połowy łydek, nad podziw lniane, przechodzące w miodowe loki po mamie. Włosy splatała w puszysty warkocz, układała je z tyłu głowy w ciężki węzeł i chodziła jak Woske, nieco odchylając do tyłu głowę. Stara matka Jasaman, która ujrzała ją po latach nieobecności, aż westchnęła i złapała się za serce – dziewczyna była tak bardzo podobna do swoich rodziców, jakby zespoliła w sobie ich nieszczęsne dusze. Anatoliję uradowało, że sąsiadom udało się przeżyć głód. Jasaman, która była starsza od niej o dwadzieścia dwa lata i niańczyła już pierwszego wnuka, wraz z mężem Howanesem pomogła Anatolii doprowadzić do porządku podupadły dom i ogród. Wspólnymi siłami umocnili podpórkami tylną ścianę, wymienili zbutwiałe ramy okienne na nowe, załatali przegniłą podłogę werandy. Z biegiem czasu Anatolija szczerze przywiązała się do swoich sąsiadów, a przywiązanie to okazało się wzajemne. Do Anatolii, jedynej ocalałej córki swojego przyjaciela, Howanes odnosił się z iście ojcowską troską, a Jasaman stała się dla niej wszystkim – matką, siostrą, przyjaciółką, oparciem w chwilach gdy życie stawało się już całkiem nie do zniesienia.

Podczas pobytu w dolinie Anatolija odwykła od trudów wiejskiego życia i minęło wiele czasu zanim znów nauczyła się uprawiać ogród, gotować, sprzątać. Żeby ułatwić sobie życie, zamknęła na dobre większość pokoiów, użytkując tylko sypialnię rodziców, pokój gościnny i kuchnię. Jednak raz

w tygodniu musiała starannie posprzątać cały dom, wytrzeć kurze, wynieść na dwór ciężkie kołdry z owczej wełny, poduszki, wałki i dywany, żeby je wywietrzyć na słońcu lub na świeżym, pachnącym szronem mrozie. Powoli gromadziła inwentarz – Jasaman podarowała jej kurkę, która na początku mieszkała nadal w swoim macierzystym kurniku, żeby nie pozostawać bez towarzystwa koguta, ale potem, gdy wysiedziała jajka, Anatolija zabrała ją wraz z piszczącym i szamotającym się potomstwem do siebie. Jeden z kurczaków – wojowniczy, zadziorny od pierwszych dni życia – wyrósł na dorodnego koguta, prawdziwego lubieżnika, z ochotą pokrywającego nie tylko swój kurzy harem, ale i upierzoną płęć żeńską z sąsiednich podwórek. Z tego powodu często wdawał się w krwawe draki, z których jednak niezmiennie wychodził zwycięsko. Zawsze po takiej walce długo piał na płocie, budząc zawiść i przerażenie u pokonanych przeciwników. Następnie pozyskała kozę, nauczyła się kwasić macun¹⁰ i robić prawdziwą bryndzę – miękką, delikatną, mleczno-wilgotną po odkrojeniu. Najpierw piekła chleb pod nadzorem Jasaman, potem nabrała wprawy i radziła sobie z tym sama. W niedzielę, z samego ranka, udawała się na cmentarz, a później do kaplicy – pomodlić się za bliskich. Cmentarz podczas jej wieloletniej nieobecności powiększył się dwukrotnie, Anatolija mijała milczące kamienne krzyże, odczytywała wypisane na nich nazwiska całych rodzin.

Pół roku po powrocie zatrudniła się do pracy w bibliotece. Przyjęli ją mimo braku wykształcenia z tej prostej przyczyny, że nie było wyboru – stara bibliotekarka nie przeżyła głodu, a nie znalazł się nikt inny, kto zgodziłby się za nędzne grosze tkwić przez pięć dni w tygodniu w zakurzonej pomieszczeniu, zastawionym półkami z książkami. Dzieci w Maranie nie pozostało, jedyny chłopiec, który przeżył głód, wnuk Melikanc Wano, skończył dopiero pięć lat, więc zbudowane w przeddzień głodu szkoła i biblioteka praktycznie stały puste, ale Anatolija nie traciła ducha: życie zawsze zwycięży, wkrótce narodzi się nowe pokolenie i wszystko powróci na swoje tory.

Biblioteka stała się jej rajem, miejscem gdzie mogła odpocząć od codziennych, monottonnych i nużących prac domowych. Na początku Anatolija starannie przemyła półki, natarła je do błysku domowym woskiem, uporządkowała karty biblioteczne, po nowemu poustawiała książki, ignorując sygnatury